

## Wyjazd

Gdy samolot przelatuje nad roślinnym oceanem puszczy amazońskiej, nawet nie przeczuwam, co mnie tu spotka. Z pewną niecierpliwością smakuję ostatnie chwile podróży, którą zacząłem prawie dobę temu w Paryżu.

Jeszcze kilka minut i maszyna lecąca z Limy, stolicy Peru, dotyka wilgotnego lądowiska w tropikalnym mieście Tarapoto.

Czyż można było sobie wyobrazić, że moje życie przyjmie taki obrót? *Spotkanie* nastąpi tutaj, ale równie dobrze mogłoby się wydarzyć w Paryżu lub gdzie indziej. To nie miejsce jest ważne, ale czas. A moment okazuje się szczególny: po latach intensywnej pracy daję sobie wreszcie wolne. Robię pauzę.

To okazja, abym zastanowił się nad swoim życiem.

Od tak dawna działam pod presją czasu! Teraz czuję, że muszę się odnaleźć, zyskać potwierdzenie, że jestem na właściwej drodze, baczniej przyjrzeć się ranom, jakie w sobie noszę, zrozumieć swoją złość, uzdrowić cienie. Moja złość nie przejawia się w gestach, ale raczej w niemal ciągłym, wewnętrznym niepokoju. Uleczenie się z tego stało się dla mnie bezwzględną potrzebą, kwestią zdrowia, wręcz przeżycia.

Są takie chwile w życiu, gdy czujemy, że coś jest nie tak, gdy konieczność zmiany staje się *przymusem*. Dokładnie w tym punkcie dziś jestem. Nie mogę się już wycofać.

Odkryję, że gdy prosimy wszechświat o pomoc, los daje nam wsparcie. Nawet jeśli czasem trudno nam sobie z tego zdać sprawę, tak dzieje się *zawsze*.

Obcowanie od tylu lat na co dzień ze śmiercią pozwoliło mi zrozumieć, jak bardzo niesłuchanie naszego wewnętrzного głosu i niechęć do przyjrzenia się temu, co w nas cierpi, oznacza tak naprawdę rozminięcie się z własnym życiem.

Odłożyć na później oznacza często odłożyć na za późno.

Mój brat zginął na moich oczach w wypadku samochodowym. Dopiero co przekroczył trzydziestkę, mężczyzna w pełni sił. Ułamek sekundy i już go nie było. Umiał podążać za swoim instynktem i nigdy nie szedł na ustępstwa. Miał rację.

Towarzyszyłem również w ostatnich chwilach życia mojemu osiemdziesięcioletniemu ojcu. Tuż przed śmiercią wypowiedział zdanie, które na zawsze zapadnie mi w pamięć. Siedząc na szpitalnym łóżku, popatrzył na mnie i rzekł ze zdziwieniem: „Gdy myślę o przyszłości, to rozumiem, że to już koniec, a gdy patrzę w przeszłość, widzę, że życie przeleciało w mgnieniu oka”. Powiedział to, pstrykając palcami i ze wzrokiem pełnym zdumienia wobec tego nieodwołalnego faktu. Co chciałby zmienić, gdyby mógł cofnąć czas? Czego nie doprowadził do końca, kiedy było to jeszcze możliwe? Co mógł być uzdrowić? Czego żałował u schyłku życia?

Doświadczenie mnie nauczyło, jak ważne jest podążanie za głosem intuicji, nawet jeśli zdaje się nas ona prowadzić ku burzliwym zmianom. Jeżeli chcemy się

uwolnić, musimy podjąć ryzyko i podać w wątpliwość swoje dotychczasowe przekonania. Świat to jedna wielka niepewność, ale czy to powód do bezczynności, kiedy nasze wewnętrzne „ja” nawołuje do działania? Z pewnością zawsze znajdą się dobre wymówki, aby się nie ruszać. Tylko jak długo możemy odkładać na później odkrycie, kim naprawdę jesteśmy, podczas gdy wszystko w nas płonie? Czy to ostrożność, czy to rozum nas od tego odwodzi? A może siła przyzwyczajenia, lenistwo lub strach? Czyż to właśnie nie ta dobrowolna ślepotą sprawia, że w końcu chorujemy?

Za długo już cofałem się przed tą konfrontacją, postanowiłem więc zrobić ten krok, bez względu na koszty. Wyjechałem, aby stanąć oko w oko ze sobą, w samotności i w medytacji, bez kłapek, jakie na oczy stale nakłada codzienne życie. Wybieram się zatem na odosobnienie z dala od świata, pragnąc spotkać się sam ze sobą. Nawet nie wyobrażam sobie, jak bardzo dosłowne okaże się to doświadczenie.

Mam szczęście, że moją towarzyszką życia jest kobieta podobna do mnie. Wczoraj Natacha odwiozła mnie na lotnisko Roissy. Żegnając się na parkingu, objęliśmy się mocno. Przytulony do niej, pojąłem tę niewiarygodną rzecz: moja żona jest moim *schronieniem*. Jakże bardzo mi na niej zależy! Konieczność rozłączenia uścisku okazała się prawdziwą udręką, mieliśmy się rozstać na wiele tygodni. Nie chciałem w tym momencie niczego dać po sobie poznać. Nasze ręce się rozdzieliły, ja poszedłem w stronę hali odlotów, a Natacha odjechała samochodem. Płakaliśmy oboje. Życie, które we mnie buzuje z taką gwałtownością,

ma wpływ na naszą relację. Ale przeżywamy z Natachą tak wiele cudownych chwil, że oczywiste jest dla nas, iż musimy starać się rozjaśniać nawzajem nasze strefy cienia. I tak wzrastamy razem, w zaufaniu i wzajemnym szacunku. Nasza miłość pozwala jej zrozumieć i zaakceptować moją potrzebę samotności. I jestem jej za to niezmiernie wdzięczny.

Tuż przed wejściem do samolotu, wciąż jeszcze poruszony, dostaję esemes od mojej córki Luny: „Podróżuj jak niegdyś”. Kolejna fala emocji. Jej delikatność i siła intuicji nie przestają mnie zaskakiwać. Noworodek, którego jeszcze nie tak dawno trzymałem czule na rękach, jest już dorosłą osobą o ogromnej dojrzałości. Jakże szybko płynie czas na twarzach naszych dzieci. Cóż za radość obserwować, jak kształtuje się istota ludzka. Istota ludzka, dla której bez wahania oddalibyśmy wszystko. Jakże piękny i oczywisty jest ten rodzaj miłości.

Jeśli intensywność emocji towarzyszących mojemu odlotowi ma być równa temu, co mnie czeka podczas podróży, to chyba powinienem zapiąć pasy.

Koła samolotu dotykają ziemi. W oknach miga grzywa drzew okalających lądowisko, potem maszyna zwalnia i kołuje na miejsce postojowe przed budynkiem lotniska. Rozgorączkowanie pasażerów, odgłosy włączanych telefonów, niecierpliwie otwierane schowki bagażowe. Przez odblokowane drzwi wdziera się do kabiny wilgotne ciepło i zapach mokrej ziemi wraz z wyziewami paliwa. Wysiadam po chwili, wchodzę do niewielkiego budynku lotniska, odbieram bagaż i wyruszam w kierunku ośrodka poza miastem, gdzie mam się zatrzymać.

Zbliża się pora deszczowa, niskie chmury zaczynają się już gromadzić na niebie parę kilometrów na północ. Zostawiam w tyle ostatnie zabudowania Tarapoto, przede mną rozpościera się pofałdowany pejzaż złożony z pagórków, pól i bujnego lasu, gorącego i hałaśliwego. Wkrótce asfalt zmienia się w czerwoną drogę gruntową. Dotarłszy do wioski, wysiadam z auta i resztę trasy pokonuję pieszo.

Po trzech kwadransach marszu, spływając potem, docieram do miejsca zwanego Terra Nova – „Nowa Ziemia”. Nazwa mi pasuje i oddalenie też. Kilka wielkich, czarnych głazów, niczym schrony na rozległym placu. Pierwszą noc spędzam w hamaku zawieszonym pod prowizorycznym zadaszeniem. Moja chatka, położona dość daleko od głównego obozowiska, jeszcze nie jest całkiem skończona. Zobaczę ją następnego dnia o świcie: platforma z grubych desek, dach z liści palmowych. Ściany będą zrobione ze zwykłej moskitiery, którą trzeba jeszcze naciągnąć. Całość znajduje się pod potężnym drzewem zwanym *ojé*, jak tłumaczy mi Yann, młody Francuz, który prowadzi ośrodek od niedawna. To tutaj spędzę najbliższe tygodnie, w tej chatce otwartej na cztery strony świata. Tylko ja, z samym sobą... I z duchami.

Łóżko pokryte prostokątną pianką, cienkie prześcierało, stół i krzesło: raj introspekcji. Ubikacja: dziura w ziemi. Prześwit w roślinności przed chatką pozwala mi widzieć niebo. Poza tym dokoła gigantyczne drzewa sięgają listowiem bardzo wysoko. Yann wyjaśnia mi, że ścieżką, której będę jedynym użytkownikiem, można zejść do rzeki płynącej jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej. W obozowisku jest coś w rodzaju pryszniców, ale myślę, iż rzeka powinna wystarczyć. Pragnę samotności. Posiłki będą mi przynoszone dwa razy dziennie. Odosobnienie będzie więc totalne. Marzenie.

## Samotność

W pierwszym dniu rozlokowuję się w nowym miejscu, ale wciąż nie dociera do mnie, że czas się właśnie zatrzymał. Nie mam *nic* do zrobienia. Nie mam tu e-maili do sprawdzania, telefonów do wykonania, artykułów do zredagowania, spotkań do umówienia, narad do przygotowania... Nic. Trudno mi jeszcze w to uwierzyć. Wstrząs okazuje się zbyt silny, więc wynajduję sobie różne drobne ulepszenia mojego nowego lokum, byle się czymś zająć. I tak mija pierwszy dzień: gorący, przyjemny, nierealny.

Gdy noc spowija chatkę całkowicie, owady, żaby i inne niewidzialne zwierzęta zaczynają chóralne śpiewanie, równie urozmaicone, co hałaśliwe. To one od tej pory będą kołysać mnie do snu. Te wszystkie poświstywania, szelesty, brzęczenia i kłaskania lasu ustają dopiero z nadejściem dnia. Wiele owadów, zwabionych światłem lampy zawieszanej nad stołem, przywarło już od zewnątrz do moskitierki. Snop światła rzucany przez lampę pozostawia część pomieszczenia w ciemnościach. Zapisuję kilka linii w moim niebieskim zeszyte, relacjonując szczegóły nowego gospodarstwa. Czas będzie się dłużył.

Przywiozłem ze sobą tylko jedną książkę – *Wojnę i pokój*. Rosja Tołstoja w dżungli amazońskiej. Specjalnie

zabrałem nowe wydanie kieszonkowe, a nie tomy, które już przeczytałem i w których porobiłem notatki. Tym sposobem będę mógł spalić książkę, gdyby jej czytanie stało na przeszkodzie introspekcji, której zamierzałem dokonać. Bo w tym osamotnieniu lektura może się okazać ostatnim środkiem ucieczki przed konfrontacją z samym sobą. Wówczas zniszczę książkę, aby oddać się całkowicie bogactwu nudy.

Dlaczego *Wojna i pokój*? Otóż, po pierwsze, dlatego, że jest to arcydzieło. Oprócz tego, z bardziej prozaicznych względów, wystarczy mi na cały pobyt, nawet gdybym się miał nie ograniczać. A w końcu też dlatego, że poprzez ten tekst czuję łączność z moim ojcem. Moim zmarłym ojcem, którego mi brakuje, a który czytał tę książkę chyba ze czterdzieści razy.

Gaszę światło i natychmiast zapada czarna noc. Podczas gdy moje oczy przyzwyczajają się powoli do ciemności, niewyraźne kształty roślinne zaczynają się wyłaniać zza moskitiery. Jestem zmęczony podróżą, a mój umysł błądzi między jawą a snem, kołyszany odgłosami przyrody. Szybko układam się na tym jedynym w swoim rodzaju łóżku. Jest parno, więc tylko trochę przykrywam się lekkim prześcieradłem i zasypiam natychmiast.

Jestem na nogach o świcie, w bladym świetle wschodzącego dnia. Podczas śniadania, złożonego z miski płatków zbożowych i mleka sojowego, odwiedza mnie niewielka modliszka. Gorąca wilgoć nocy rozptywa się mglistymi smużkami ponad koronami drzew, w miarę jak słońce wschodzi coraz wyżej. Kawa rozpuszczona w kubku zimnej wody uzupełnia śniadanie. Jakie szczęście. Kręci mi się w głowie, jak pomyślę, gdzie jestem.

Jedyną rzeczą, jaką chcę robić regularnie i konsekwentnie, jest program pracy z ciałem i energią, który zacząłem jeszcze w Paryżu, pod okiem Serge'a Augiera. Chodzi o ćwiczenia sztuki walki polegające na powolnych ruchach i tym samym nakłanianiu ciała do pracy na głębokich poziomach, co jest wstępem do trudniejszej praktyki. Te ćwiczenia fizyczne będą mi towarzyszyły w drodze duchowej. Bo jakże uspokoić i badać umysł bez oczyszczenia i wzmocnienia ciała, które jest jego odbiciem?

Odziany jedynie w przepaskę na biodrach, zaczynam pierwsze ćwiczenie polegające na pracy nad równowagą i ze środkiem ciężkości. Stojąc boso na podłodze z desek, z rękami wzdłuż tułowia, przenoszę ciężar ciała naprzemiennie z pięt na przód stóp. W powolnym kołysaniu, jakie tym sposobem powstaje, koncentruję się na swojej osi. To rodzaj medytacji ciała. Wzrok kieruję na zewnątrz chatki, na pień rosnącego przede mną majestatycznie drzewa. Obsesyjne myśli przychodzą i odchodzą. Nie udaje mi się osiągnąć spokoju umysłu. Jest we mnie za dużo energii, przejawia się ona w pobudzeniu umysłowym, wywołując coś w rodzaju permanentnego rozdrażnienia. Ciągle wolno oddychając, skupiam się na łagodności. Mój umysł jest jeszcze zbyt poruszony, co odbija się również w ciele. Czuję się gruby. A raczej ciężki, bo obiektywnie nie jestem gruby. Wkurza mnie mój brzuch, zawadza mi. Jeśli brzuch jest drugim mózgiem, to naprawdę się zastanawiam, *czego mój nie przetrawił*. Muszę zdjąć ten ciężar. Wykonując ćwiczenia, zauważam, że nie umiem oddychać. Wdycham powietrze gwałtownie, zrywami, jak ryba wyciągnięta z wody. Nieustannie szukam powietrza. To najpewniej z powodu tej ciężkości w brzuchu. Ale przecież oddycham tak od dzieciństwa. Dzieciństwa zapomnianego.

Mija ranek, a ja pocę się, świadomy całego oceanu skurczów i napięć szamoczących się we mnie.

Muszę zaufać ciału.

Celem tej podróży jest to, abym nauczył się odpuszczać. Aby udało mi się zatrzymać ten kołowrotek myśli, tę maszynę, która wszystko chce kontrolować, wywołując poczucie winy na samą myśl, że nie robi się czegoś, jak należy. „Pokaż mi. Ufam ci, naucz mnie łagodności”.

Nagle czuję, że ktoś mnie obserwuje. Odwracam się natychmiast, pewny, że kogoś zobaczę, ale nie ma nikogo. Jest tylko ściana lasu. A jednak mam wrażenie, że coś tu było. Pozostało niewidzialne, aby mnie nie wystraszyć? Dziwne uczucie.

Wracam do ćwiczeń, spokojniejszy, ale wciąż myśląc w kółko: chciałbym się odnaleźć, dowiedzieć, kim naprawdę jestem...

Czuję, że doszedłem do końca pracy podjętej po odejściu brata i ojca. Przez dziesięć lat żyłem badaniami nad śmiercią, które prawdziwie mną wstrząsnęły, zmieniły mnie, ale i głęboko ukoiliły. Lecz dziś nie chcę już spotykać umarłych. Chcę życia, nie śmierci. To życie jest ważne. Doświadczać życia, nie oczekując niczego szczególnego.

Mija ranek i robi się coraz goręcej. Z rozpalonymi udami i obolałymi ramionami postanawiam zejść ścieżką do rzeki. Miejsce jest puste i majestatyczne. Wchodzę do niezbyt głębokiej wody, uważając, żeby nie stracić równowagi na oślizgłych kamieniach. Posuwam się w stronę, gdzie woda jest trochę głębsza. Rzeka wije się pośród bujnej, tropikalnej roślinności, a ja, jak we śnie, unoszę się z rozkoszą. Przytrzymuję się, aby mnie prąd nie zniósł, i zanurzam po czubek głowy. Chłód wody pieści

moje ciało, rozluźniając mięśnie, obmywając je zmysłowo ze wszelkich skurczów i napięć. Czuję, jak nurt wody głaszcze mi powieki, kark i plecy, pełza po nogach. Nade mną w powietrzu krążą orły.

Wdrapuję się z powrotem do chatki. Kucharka z ośrodka zostawiła mi dyskretnie posiłek złożony z kawałka grillowanej ryby, purée, pokrojonych pomidorów, tartej marchwi i plasterów ogórka. Patrząc na ten talerz na stole i czując, jak wzbiera we mnie niepokój: czy mi to wystarczy? Talerz jest pełny, spokojnie mi tego pożywienia wystarczy, skąd więc ta potrzeba, żeby mieć więcej? Jakby coś we mnie było głodne. Lęk przed brakiem, potrzeba kompensacji, której nie zaspokoii pożywienie. Jestem zaskoczony intensywnością swojej obawy. We Francji każdego dnia przekąszałem a to kawałek czekolady, a to jakiś inny smakołyk. Słodyczne, a zwłaszcza czekolada, koiliy we mnie tę tajemniczą pustkę. Wiadomo, ma to związek z moimi emocjami. Ale fakt, że to wiem, niczego nie zmienia. Znalezienie się w sytuacji, w której nic nie będzie mogło zaspokoiić tej kompulsywnej potrzeby, wywołuje u mnie wiele razy w ciągu dnia ataki mikropaniki. Oto nowe odkrycie, widoczne z pełną ostrością. Czeka mnie mnóstwo roboty!

Po południu zaczyna padać. Ciepła ulewa zapowiada porę deszczową, która w tym regionie zagości za kilka tygodni. Bez wahania wychodzę na deszcz z twarzą zwróconą ku niebu i z rozpostartymi rękami. Grube krople chłostają mi twarz i barki. Jak woda strumienia wyznaczają granice mojego ciała, pozwalają mi poczuć jego kontury, zwiększają moją jego percepcję i w pewien sposób sprowadzają mnie do tej biologicznej materii, z której jestem zrobiony. Deszcz, spływając po skórze, tej błonie organizmu, pozwala

mi odczuć jedność ciała. To już nie umysł, który myśli swoje, nogi, które robią swoje, i jeszcze ręka, która jednocześnie coś pisze. Moje ciało na nowo staje się skończoną całością pod wpływem kontaktu z wodą deszczu i strumienia. Masuję barki, ramiona, brzuch, uda, wyczuwam pod rękami siłę swoich mięśni i ciepło skóry. Czuję w sobie życie, organiczne, zwierzęce.

Gdy kończy się ulewa, wystawiam się na słońce, aby wyschnąć, a potem wracam do chatki i kładę się w hamaku zawieszonym między dwoma słupami. Bujam w obłokach w stanie odprężenia. Moje myśli są spokojniejsze niż przed południem. Chwytam *Wojnę i pokój* i czytam kilka stron, które natychmiast przenoszą mnie w czasie i przestrzeni. W ułamku sekundy znajduję się przy ojcu. Jestem w pierwszej części powieści, kiedy Piotr, wbrew wszelkim oczekiwaniom, zostaje wyznaczony przez swego umierającego ojca na jedynego dziedzica tytułu i kolosalnej fortuny Bezuchowów. Zmrok zapada szybko. A potem nastaje noc ze swymi dzikimi wokalizami. I sen, który powala mnie bez zapowiedzi.

Nowy świt, podobny do wczorajszego, niesie szczęście i pewność szykującego się spotkania. Spotkania z moim ciałem, najpierw w czasie porannych ćwiczeń, potem podczas długich spacerów w rzece, co uaktywnia i zmienia mój obieg energii. Zauważam to już tego drugiego ranka, jest to bardzo subtelne odczucie, ale z każdym dniem będzie stawać się silniejsze. Czuję, że wzrasta moja witalność. Moje pragnienia również. Wyczuwam niejasno, że ta narastająca energia stanie się motorem ważnego doświadczenia, którego natury nie potrafię na razie odgadnąć. Poprzez te odczucia energetyczne odnoszę wrażenie, że zachodzi coś

głębszego, coś, co ma związek z moimi ogólnymi zdolnościami do czucia i *widzenia*.

W miarę upływu dni coraz wyraźniejsze się staje, że spokój, który odnajduje mój umysł, totalne odizolowanie w połączeniu z systematycznymi ćwiczeniami fizycznymi są w trakcie kanalizowania tego, co do tej pory było we mnie zupełnie rozproszone. Dzieje się! Uwielbiam to.

Popołudniami na przemian medytuję, spaceruję wzdłuż rzeki i oddaję się marzeniom. Również dużo piszę, jak podczas każdej samotnej wyprawy od trzydziestu lat, ale jeszcze więcej teraz: w czasie tej podróży w bezruchu. Mój dziennik staje się moim alter ego, z którym prowadzę dialog. Powierzam mu swoje wątpliwości i pytania. Domyślałam się, że jedną z najważniejszych rzeczy do wprowadzenia w życie będzie przestać chcieć wszystko analizować.

Pewnego ranka, kiedy jestem pogrążony w stanie kontemplacji, w ciszy i w bezruchu, nie oczekując niczego szczególnego, uświadamiam sobie, że mój umysł na kilka sekund zaprzestał myślenia. W tym momencie wydało mi się, że postrzegam otoczenie z większą ostrością. Że doświadczam czegoś w rodzaju czystej percepcji natury rzeczy. Na mgnienie oka. Zbyt ulotne, aby zostawić choćby *wspomnienie*. Bo jak tylko *doszedłem do siebie*, mój mózg zaczął pracę na najwyższych obrotach, analityczny umysł zaś odciął mnie od tego sensorycznego doświadczenia. Niemniej przez chwilę *poczułem coś nowego*. Pod nieobecność myśli uchyliły się jakieś drzwi.

Mechanizmy funkcjonowania mojego umysłu stają się coraz wyraźniejsze. Stopniowo dociera do mnie, że być może w czasie tej podróży nie pojawi się nic do zrozumienia ani cel do osiągnięcia, że nie powinienem oczekiwać żadnego objawienia. Mam tylko żyć i być w pełni obecnym

w doświadczaniu terażniejszości, bez rozumowego dociekania. To prawdziwe wyzwanie dla kogoś takiego jak ja, co główkuje bez przerwy. Widzę teraz, że w moim życiu we Francji wszystko musiało mieć cel lub powód. Pójść tu i tam, zrobić to i tamto i tak dalej. Ani na chwilę nie byłem wolny, ani na moment mój umysł się nie zatrzymywał. I dziwić się, że odciąłem się od swoich doznań? Tylko kiedy w ciągu dnia miałbym być dostępny dla tych zjawisk tak subtelnych, tak kruchych, skoro byłem w kółko zabiegany? Jak się otworzyć na *nieoczekiwane* w tym zagonieniu? Fakt, wystarczyłoby, żebym sobie darował regularnie choćby chwilę. Piętnaście minut beczynności każdego dnia przyniosłoby nieocenione korzyści. Znajdujemy przecież czas dla tylu niepotrzebnych rzeczy. Muszę sobie narzucić po powrocie te chwile medytacji. Rozwiązanie istnieje, jest gdzieś w moim wnętrzu.

Kluczem jest dyscyplina.

Podążać „ścieżką wojownika” w rozumieniu tybetańskiego mistrza Chögyama Trungpy. Narzucić sobie z determinacją możliwość świadomej i rzetelnej konfrontacji z samym sobą. To pojawia się w czasie wglądu wywołanego regularnym nicnierobieniem. Lecz spotkanie oko w oko może być nieprzyjemne. Czy pragniemy poznać samych siebie *naprawdę*? Zdaję sobie mgliście sprawę, że to moje ciągłe zabieganie i mentalna potrzeba interpretowania wszystkiego skrywają strach – strach przed nieznanym, które pojawiłoby się, gdybym tylko pozwolił swoim doznaniom otworzyć się w pełni. Czego lub kogo się boję? Dokąd zabierze mnie ta energia, która we mnie buzuje? Z czym są związane te popędy, pragnienia, te czasem gwałtowne emocje? Wobec tych niezliczonych pytań zaczynam dostrzegać konieczność codziennej praktyki tych chwil dla

samego siebie po powrocie. Podążać ścieżką wojownika z ufnością, życzliwością, determinacją, radością, przenikliwością, odwagą i współczuciem.

O zmierzchu pod koniec medytacji rzucam okiem na swój brzuch i widzę ocean czerni, niczym smoła. I smutek. Czyżby moja energia i wewnętrzne zranienia stawały się widzialne?

Nabrałem nawyku brodzenia w rzece kilka razy dziennie. Stąpając po kamieniach, uważając, żeby nie stanąć na wężu – bo już napotkałem dwa osobniki wygrzewające się na skałach – smakuję rozkosz odosobnienia. Woda jest przejrzysta, przyjemna, za każdym razem nurkuję w niej z błogością. Nad tą częścią doliny stale szybują orły unoszone ciepłymi prądami powietrza.

Pewnego dnia, leżąc na plecach na wodzie, podążam wzrokiem za jednym z tych władców nieba. Gdy widzę go dokładnie pod słońce, mrużę oczy i pozwalam się nieść powoli nurtowi, zawieszony niczym zjawa na powierzchni wody. Po pewnym czasie wstaję i ociekając wodą, wspinam się na rozgrzany głaz, aby na nim wyschnąć. Siedząc po turecku, wystawiony do słońca, spowalням oddech i zamykam oczy. Ledwie rozpraszany letnią bryzą i odgłosem wody, daję się przeniknąć majestatowi tej chwili. I staje się coś nieoczekiwanego: siedzę nieruchomo na kamieniu, ale już nie sam. Jakiś *Indianin jest ze mną*. Nie obok mnie ale, jak to powiedzieć... *We mnie*. To doznanie jest bardzo wyraźne, to nie wytwór mojej wyobraźni. Niesamowite! Jakbym wyczuwał *dawnego* tubylca. Otwieram powieki, niczego nie widzę, ale wiem, że moje oczy mogą zobaczyć

tylko niewielki fragment rzeczywistości, więc nie jestem tym zdziwiony i skupiam się na samym doznaniu. Czuję jeszcze obecność tego Indianina, jest ona bardzo realna, dlatego staram się nie poruszyć, aby delektować się chwilą. Jednego jestem pewien: ani na moment nie jestem sam. Jest tu ten tubylec w czasie poza czasem, w miejscu, gdzie jestem, ja – cudzoziemiec, który kolejny dzień otwiera powoli drzwi do niewidzialnych światów. Na kilka sekund nasze rzeczywistości się na siebie nałożyły. Przez kilka sekund Indianin był gęstszy od ducha.

Z pewnością potrzebowałem tego przypomnienia, że świat niewidzialny jest stale dostępny, obecny wokół nas, gdziekolwiek jesteśmy. Nie trzeba jechać daleko, aby to odkryć. Drzwi do tego świata są w nas, nigdy nie były gdzie indziej.

Wdrapuję się do mojej chatki, jednocześnie mocno poruszony, ale i radosny. Czuję się silny. Cóż za niezwykłe doświadczenie! Śpieszę je przelać na papier dziennika. Od wschodu, z pomrukami burzy, nadciągają chmury. Ściemnia się. Jem kolację złożoną z czegoś w rodzaju placka z soczewicy z awokado, ryżem i jarzynami. To już ponad tydzień, jak żyję niczym pustelnik w tej chatce pośrodku puszczy amazońskiej.

To stanie się jutro.

## Spotkanie

Słońce jest już wysoko, gdy zaczyna się to szczególne doświadczenie. Na przejrzystym niebie orły jak zwykle tańczą nad moją głową. Kończę serię ćwiczeń fizycznych, zanim zrobi się zbyt gorąco. Czuję się świetnie, odnajduję swoje ciało, czuję pracę mięśni, krążącą energię. Mój umysł się uspokaja. I nagle intuicja każe mi się zatrzymać, znieruchomieć i wsłuchać się w doznania. Kładę się więc na łóżku, zamykam oczy. Nie wiem, dlaczego to robię, oddaję się marzeniom. Leżę z zamkniętymi oczami, mój umysł zaczyna błędzić. Początkowo nie wiem, co robić, ale po chwili zaczynam sobie wyobrażać, że jestem latającym orłem. Nagle wracam myślą do brata, Thomasa, i do ojca. Stoją naprzeciwko mnie na znanej mi drodze. Thomas ręką pokazuje mi przestrzeń przed nami. Nie rozumiem. Czy to jakieś przesłanie? Co takiego chce mi pokazać? Stopniowo wzbijam się ponownie do lotu. Wizualizuję sobie w myślach dolinę, gdzie się znajduję, jakbym był ptakiem, jednym z orłów, które zapewne w tym momencie rzeczywiście krążą nade mną. Widzę z góry swoją chatkę, potem szybuję w stronę rzeki, jakby mój duch przelatywał nad nią na sporej wysokości. W tym momencie jestem doskonale świadomy, że to ja tworzę tę wizję. Lecz nagle dzieje

się coś zaskakującego. Nachodzi mnie, z pełną ostrością, wizja, której nie wyreżyserowałem: lecę wciąż ponad rzeką, ale tym razem dostrzegam zbliżających się ludzi. Ludzi brodzących w rzece. Z tej wysokości to zaledwie czarne punkciki. Czy to Indianie zamieszkujący dawniej tę dżungłę? Konkwistadorzy? Podlatuję bliżej i w miarę, jak obniżam lot, rzeka znika, a roślinność ustępuje miejsca całkowicie białemu pejzażowi, jakby pokrytemu śniegiem. Jestem teraz na poziomie ziemi. Zdumiewające: widzę czołg oraz idących za nim ludzi. To żołnierze, Niemcy, jest wojna. Idą naprzód, chroniąc się za czołgiem. I co dziwniejsze, jestem jednym z nich. Jestem oficerem SS. Widzę twarz, która z krzykiem pochyła się nade mną, widzę zniszczoną wioskę. Czuję, że za chwilę umrę, ranny w szyję odłamkiem pocisku, który uszkodził tętnicę. Umieram.

Jestem osłupiały i oszołomiony intensywnością tego przeżycia.

Wciąż leżę z zamkniętymi oczami, całkowicie przytomny i świadomy, na swojej pryczy w Peru, a jednocześnie mój duch jest przerzucony w inny czas, w inne miejsce. Nagle odkrywam, że wiem, jak się nazywa ten mężczyzna. Jego imię, Alexander, wyłania się z nicości i narzuca niczym oczywistość. Nie widzę wyraźnie jego twarzy, jedynie tyle, że jest jasnym szatynem, prawie blondynem, z włosami dość krótko przyciętymi przy karku i skroniach, a dłuższymi na czubku głowy. Widzę, jak posuwa się wśród zniszczeń i trupów. Wszystko jest białe, jakby pokryte gipsowym pyłem lub śniegiem. Sylwetki zaś są czarne. Zasycha mi w gardle. Alexander ma na sobie długi, ciemny płaszcz. Mężczyzna jest wysoki i chudy, ale proporcjonalnie

zbudowany, z długimi i szczupłymi mięśniami. Scena jego śmierci się powtarza.

Skąd to uczucie, że chodzi o *mnie*?

To wprost niewiarygodne, zbyt silne, to niemożliwe... Proszę o jakiś element, który mógłbym sprawdzić później, i widzę coś, co wydaje się dowodem osobistym, zapisanym pismem gotyckim. Dostrzegam „Herman” w miejscu przewidzianym na nazwisko. Nazywa się Herman, Alexander Herman. Podobnie jak w przypadku imienia *dociera* do mnie *oczywistość* jego stopnia wojskowego: „Obersturmführer” wyskakuje w moim umyśle, umyśle kogoś, kto nie mówi ani słowa po niemiecku. Jestem bombardowany kolejnymi wizjami. Jak gdyby sceny z życia przewijały się z impetem przed moimi zamkniętymi oczami. Sceny z jego życia w cywilu. Widzę jakąś dziewczynkę, blondyneczkę, radosną i uśmiechniętą, w wieku dwóch, trzech lat. Jest z nią. Czy to jego córka? A potem znowu śmierć, wrzeszczące twarze. I wtem widzę go na brzegu jeziora, w sielskim pejzażu. Jest lato. Alexander ma nagi tors. Koło niego leży na brzuchu inny mężczyzna. Jest starszy od niego, widzę dobrze jego twarz. Czuję silną więź między nimi. Czy są kochankami? Wewnątrz lewego przedramienia Alexandra dostrzegam tatuaż z cyfrą „25”. I znowu zniszczone miasto lub miasteczko, odnoszę wrażenie, że chodzi o miejscowość zwaną Bagneux lub Bayeux, nie... Ani jedno, ani drugie... Ale coś zbliżonego. A teraz znów widzę dziewczynkę w tej sielskiej scenie, w towarzystwie Alexandra i tego drugiego mężczyzny. Blond włosy małej obcięte są równo do linii brody. Widzę następnie Alexandra w Paryżu, jakby spacerował w V dzielnicy, w górze rue Gay-Lussac, w miejscu, gdzie przechodzi ona w rue Claude Bernard. Wchodzi potem do pobliskiego Ogrodu Luksemburskiego... Odwraca się

i patrzy mi w oczy z pewną figlarnością, jakby się bawił moim zdumieniem. Mogę wówczas przyjrzeć się dokładnie jego twarzy. Później znów widzę, jak upada. Krew, pulsując, wypływa z jego szyi i plami kołnierz, ziemię. Alexander chwyta się za gardło. Życie z niego ucieka, wzrok gaśnie. Na Alexandra opada biały pył. Ziemia wokół, rozorywana eksplozjami, wyrzuca fontanny śniegu i ognia, wściekłości i zimna. Jest martwy. Jest mną. Jego ciało jest moim.

Gdy po upływie pół godziny ta wizja się kończy, jestem zupełnie ośluszony. To doświadczenie było tak bardzo zaskakujące, niezrozumiałe i tak potężne. Czyżbym sobie to tylko wyobraził? Ale dlaczego? Kim jest ten człowiek? Co się tak naprawdę przed chwilą wydarzyło?

Po południu i przez kolejne dni nie udaje mi się wymazać obrazów tego Niemca. Przybył tu z mrocznej otchłani, wszedł do mojej rzeczywistości i w niej pozostał, jakby *żył we mnie*. Wracam pamięcią do tego ponurego krajobrazu przemocy i śmierci, do spojrzenia Alexandra... Ale nawet przez moment nie przypuszczam wstrząsu, jaki nastąpi po moim powrocie do Francji.

Gdy odkryję, że ten człowiek istniał naprawdę.

## Potwierdzenie

W kolejnych dniach, pomimo frapującego charakteru tamtego doświadczenia, dochodzę do wniosku, że musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Dlatego też jeszcze przed końcem pobytu w puszczy amazońskiej nabieram wobec niego pewnego dystansu. Twarz mężczyzny z mojej wizji nadal zajmuje moje myśli, ale niesamowitość tego zdarzenia ustępuje powoli miejsca psychologicznej interpretacji, choć jego wymowa pozostaje wciąż tajemnicza.

Nie mogę po prostu uwierzyć, że ten człowiek mógłby rzeczywiście istnieć. To byłoby niebywałe, zbyt niepokojące. Nie, źródło tych obrazów musi tkwić w moim umyśle. To z pewnością moja wyobraźnia ułożyła cały ten scenariusz. Gdybym miał wymyślić na poczekaniu nazwisko, które brzmi z niemiecka, najpewniej powiedziałbym Herman lub ewentualnie Helmut. Co do imienia Alexander, napisałem wspólnie z Michałem, księciem Grecji i Danii, książkę o Aleksandrze Wielkim, a postać tego Macedończyka fascynuje mnie od czasu pierwszych podróży do Azji Środkowej. Co do stopnia Obersturmführera, musiałem je usłyszeć w jakimś filmie albo znaleźć w jakiejś książce, jak na przykład *Łaskawe*,

monumentalnej powieści Jonathana Littella, która zdobyła w 2006 roku Nagrodę Goncourtów, a która jest mrozącą krew w żyłach historią oficera SS. Ta książka bardzo mnie poruszyła. A co z resztą? Nie wiem... Tak więc, nawet jeśli to *spotkanie* było niesamowite, nie widzę powodu, dla którego należałoby je uznać za coś innego niż tylko dość oryginalny wynik pewnych nieświadomych procesów. Niemniej obiecuję sobie, że jak wrócę do Francji i będę miał dostęp do internetu, sprawdzę to w Google. Tak dla świętego spokoju.

W dniu mojego wyjazdu strugi ulewnego deszczu rozdierają niebo, znacząc początek opóźnionej pory deszczowej. Rzadko widywałem coś podobnego: dosłownie ściana wody zwała się na las. Ścieżka staje się strumieniem, moje buty są kompletnie mokre i pomimo założenia od razu przeciwdeszczowego poncho jestem po przejściu na piechotę drogi do wioski przemoczony do suchej nitki. Tam czeka na mnie samochód. Ściśnięty wśród tubylców w ledwo zipiącej taksówce z zaparowanymi szybami, mam wrażenie, że podróżuję w zamkniętej, trzęsącej się klatce. W końcu docieram do centrum Tarapoto. W mieście ulewa się uspokaja i mogę się przebrać, zanim dotrę na lotnisko.

Zawsze bardzo się cieszę, gdy wyruszam w podróż, i tak samo się cieszę, gdy przychodzi moment powrotu do domu. Bo w nim odnajdę osoby, które kocham, ja – samotnik niemogący żyć bez czułości swoich bliskich.

Ten paradoks to moje życie.

Wyrwawszy się ze świata na kilka tygodni, wracam z przecuciem, że szukanie równowagi w samotności, z dala od zamętu życia społecznego, stanowi tylko część rozwiązania. Prawdziwy spokój wewnętrzny pojawi się wówczas,

gdy zanurzony w codzienności, nauczę się nie podlegać jej wstrząsom. Chciałem uwolnić się, uciec, ale teraz, skonfrontowany z obecną we mnie złością, zdaję sobie sprawę, że nie uda mi się jej całkowicie uleczyć, odcinając się zupełnie od społeczeństwa, nawet jeśli o tym marzę. To raczej stawiając czoła temu, co wywołuje we mnie wzburzenie, a nie chroniąc się przed tym, uda mi się w końcu zrozumieć przyczynę i ją uzdrowić.

Odosobnienie otwarło we mnie pewne drzwi, co nie znaczy, że problemy znikły jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Podczas tych tygodni przerwy otworzyłem się na niewidzialne, zyskałem więcej energii i pozwoliłem rozwinąć się intuicji. Trzeba jednak kontynuować tę pracę tutaj, w normalnym życiu, pośród codziennych wyzwań.

Teraz muszę pilnować, żeby nie zasnęło to, co zostało obudzone. Tylko jakie znaczenie w tym kontekście może mieć historia z Niemcem?

Nazajutrz po powrocie wpisuję z ciekawości jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej, dodając mu te dwie potworne litery: SS. Próbuję „Herman” z jednym „r”, potem z dwoma, następnie z jednym lub dwoma „n”. Kontynuuję poszukiwania, wpisując „Alexander” lub „Alexandre”. W ciągu zaledwie kilku minut znajduję dwa nazwiska „Alexander Herrmann” w czymś, co wygląda na rejestry oficerów SS sporządzone po polsku i dostępne online. Minuty stają się godzinami, ale nie udaje mi się uzyskać nic więcej oprócz potwierdzenia dwóch pierwszych wyników: było dwóch oficerów SS, którzy nazywali się Alexander Herrmann.

Ale tylko jeden z nich miał stopień Obersturmführera.

I ta chwila jest niezwykła.

Czuję się jak ktoś, kto próbuje utrzymać równowagę na wąskiej belce wiszącej nad mroczną otchłanią.

Nie wiem, czy się tego spodziewałem. Jestem oczywiście oszołomiony, ale szczerze mówiąc, nie potrafię się przemóc, żeby nie widzieć w tym tylko zwykłego zbiegu okoliczności. W głębi duszy nawet nie ośmielam się dopuścić innych hipotez. No bo, obiektywnie rzecz biorąc, jak mógłbym? Tak, ta zbieżność jest niesłychana, ale czy można stąd wyciągnąć jakiś wniosek? Racjonalny – żaden. To niewiadoma, osobliwa zagadka. Może to być dość dziwny przypadek lub też zjawisko znacznie bardziej niepokojące. Tak naprawdę nie potrafię pójść dalej. Od kiedy jestem dziennikarzem, gdy staję w obliczu czegoś niezwykłego, spontanicznie staram się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. W tej historii musi chodzić o coś dziwnego, z pogranicza przypadku i synchroniczności. Czuję, że coś się wydarzyło, ale wyprowadzanie z tego jakichś szalonych scenariuszy nie leży w mojej naturze.

W tej historii wojna i przemoc stanowią elementy centralne, co w odniesieniu do mojego życia ma znaczenie: jeszcze jako młokos zdecydowałem, że zostanę reporterem wojennym, wrażliwy na przemoc tego świata i jednocześnie nią zafascynowany.

I podobnie jak szczególnie sen, który ma odegrać rozstrzygającą rolę w pracy psychoterapeutycznej, coś mi mówi, że klucz do tej wizji znajduje się prawdopodobnie w meandrach mojej psychiki. Klucz, o ile w ogóle istnieje, będzie mógł się objawić raczej podczas psychoterapii niż w wyszukiwarce Google.

To prawda, że nawet jeśli jestem trochę zaszokowany tym odkryciem, to intuicja prowadzi mnie bardziej

w kierunku psychologii niż gdzie indziej. Znalezienie na listach tysięcy oficerów nazwiska identycznego z tym z mojej wizji wydaje mi się – używając terminu psychoanalitycznego – *znaczącą koincydencją*.

A więc ten Obersturmführer Alexander Herrmann istniał naprawdę.